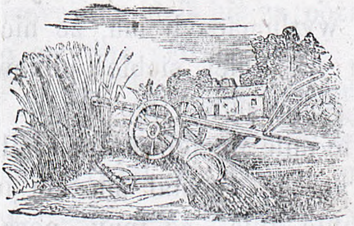
Tom I. 11. Czerwca 1870. Nr. 17.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż Macieja Kołowrotka.

Czytelnikom „Dzwonka“ na pożytek i zabawę opowiedział

Bartek Szkolarz.

(Dokończenie.)

Maciej spał dość długo. Wreszcie krzyk go zbudził. Przetarłszy oczy zaspane ujrzał Maciej przed sobą konduktora.

— A dokąd jedziecie panie gospodarzu? — zapytał Macieja konduktor.

— Do Kalińca, odpowiedział Maciej.

— Oho ho! zawołał konduktor. My już jesteśmy o dwie mile za Kalińcem.

— Jakto? — zawołał Maciej z całego gardła i jak oparzony wyskoczył z wagonu.

— A cóż to wy sobie myślicie? — wołał dalej Maciej — dlaczego nikt mnie nie zbudził? Teraz zapłacić mi musicie furę do Kalińca.

Konduktor zaśmiał się i rzekł:

— Za te dwie mile musicie wy nam jeszcze dopłacić.

Maciej zaczął krzyczeć, odgrażać się, a w końcu się tłumaczył i prosił, ale to nic nie pomogło. Znowu przyszedł urzędnik z policjantem i Maciej znowu zapłacić musiał za dwie mile,

jazdy. Już teraz na prawdę myślał Maciej o procesie, ale ludzie co stali na drodze, wytłumaczyli mu, że nic na to nie poradzi, bo każdy powinien na kolei siebie pilnować, a kto zaśnie w drodze, ten sam sobie potem złe skutki przypisać musi.

Gdy za te dwie mile Maciej zapłacił należytość, z pieniędzy otrzymanych od brata nie został mu się już ani jeden szeląg A pieniędzy tych było tyle, że inny, poradny człowiek, zajechałby był o nich trzy razy do Kalińca. Maciej widząc próżną kieszeń, stanął tak zdumiony, jak gdyby go kto wśród trzaskających mrozów zimną wodą oblał. Kolej odjechała dalej, a Maciej stanął wśród drogi i dumał.

— Teraz to już nie ma innej rady — pomyślał, tylko trzeba o własnych nogach biedz do Kalińca.

— A którędy to i jak daleko do Kalińca? zapytał człowieka co stał koło kolei.

— Ztąd na prawo ścieżkami zajdzie i za godzinę — odparł zapytany.

Maciej nie czekając dłużej, pobiegł w wskazanym mu kierunku wązką drożyną pomiędzy polami. Wsród tej przykrej drogi, gdyż była to pora jesienna, a błoto w tych stronach szkaradne, Maciej przypominał sobie powoli wszystkie szczegóły swej podróży, wszystkie głupstwa, które popełnił i wszystkie upokorzenia i wstyd wielki, który za to znieść musiał.

— Djabelski to wymysł, ta kolej! rzekł gniewnie i zaczął biedz prędzej wsród błota, gdyż zimno mu się robiło, a noc stawała się coraz ciemniejszą.

— Niech djabli jeżdżą koleją, ale nie ludzie! — rzekł dalej.

Ale w tej chwili odezwał się w nim rozsądek i zastanowienie.

— Ej, może to i nie godzi się tak mówić! pomyślał sobie. Jestto przecież zawsze dobrze jechać prędko jakby na skrzydłach, wygodnie jakby na łóżku, a płacić tak mało. Dla innych ludzi kolej ta musi być dobrodziejstwem. I ja na drugi raz może nie wyjdę tak źle na tem.

I w tej chwili Maciej skruszył się tak, jak dotąd jeszcze nigdy. Zaczął sobie samemu winę przypisywać. Poznawał powoli, że ludzie ani Pan Bóg nie sprowadził dzisiaj tej biedy na niego, lecz własna jego nieporadność.

— Nie chciałem się uczyć, nie słuchałem rady ludzi starszych i rozumniejszych, a dziś już za późno może, pomyślał sobie Maciej i mocno się tem zafrasował.

Na nieszczęście droga była tak przykrą, że ze smutku złości i wyrzutów Maciej omal nie oszalał. Chciał przyspieszyć kroku, ale tymczasem grzązł w błocie prawie po kolana a zimno jesienne dokuczało mu mocno. Po takiej przykrej całogodzinej przechadzce ujrzał wreszcie mimo ciemnej nocy w dali chaty wiejskie.

— A więc to Kaliniec! — zawołał radośnie — Dzięki ci Boże!

Zapomniał w tej chwili o zimnie, błocie i swych nieszczęściach i biegł prędko. Zdawało mu się jednak, że polami prędzej dostanie się do wioski, więc zboczył ze scieszki i puścił się krótszą drogą. Droga ta była rzeczywiście krótszą, bo za chwilę ujrzał już wyraźnie całą wioskę. O kilka kroków przed sobą ujrzał nizką słomianą budkę. Myśląc, że to może jaka stara chałupka, puścił się do niej czem prędzej, ale wnet poznał, że to jest jama na kartofle, przykryta dachem słomianym. Chciał tedy biedz dalej ku wiosce, gdy w tem nagle zatrzeszczała mu słoma pod nogami. Maciej postąpił o krok dalej i wpadł w głęboką jamę. W pierwszej chwili zemdlał prawie ze strachu. Gdy oczy otworzył, nie widział świata, bo leżał w głębokiej, wązkiej i błotnistej jamie.

— Gwałtu! Gwałtu! wołał Maciej i szamotał się w jamie, chcąc przynajmniej stanąć na nogi, ale nadaremnie, bo jama ta była tak wązką, że niepodobna było podźwignąć się z niej.

Krzyk tożsamo nic nie pomógł Maciejowi, bo wioska odległą była o kilkadziesiąt kroków, a do tego było to już po północy, więc wszyscy spali w najlepsze. Maciej leżał bezwładny i nie wiedział nawet, co się z nim dzieje.

— Może to jama na wilki? pomyślał. Może ja tu leżę obok wilka, który mię na śmierć zagryzie?

I na tę myśl Maciej przestraszony okropnie, zaczął wołać z całego gardła: Gwałtu, gwałtu! Ale i teraz krzyk ten nic nie pomógł. Wsród takich okropnych mąk, wsród ciągłej trwogi, w zimie, na błocie, przeleżał Maciej kilka godzin. Dopiero nad ranem usłyszał koło siebie kroki i głosy ludzkie.

— Dla Boga ratujcie poczciwi ludzie! – wołał Maciej ochrypłym głosem.

— Aha mamy cię przecież raz ty złodzieju! ozwał się jakiś głos nad jamą.

— Ależ ja nie złodziej; ratujcie, bo zginę! błagał Maciej.

— To giń sobie, złodzieju Andruchu, kiedy ci się cudzych kartofli zachciało — odpowiedział znowu ten sam głos.

— Ja nie Andruch i nie złodziej — piszczał Maciej. Ja nie chciałem kraść waszych kartofli, ja jestem Maciej z Jagódki!

— Damy my ci tu zaraz Jagódkę! zawołał drugi głos.

— Przez cały miesiąc kradłeś kartofle, a gdyśmy cię do wójta pozwali, groziłeś nam jeszcze, że cię posądzamy niesłusznie o kradzież. Otóż teraz mamy dowód. Trzeba było na ciebie aż zasadzkę robić jak na wilka. Ale teraz już nam nie wyjdziesz!

Maciej słysząc te głosy w jamie, a nie widząc nikogo, wołał tak rzewnym głosem, jakby modlitwę jaką odmawiał.

— Ludzie poczciwi zlitujcie się dla Boga! Ja Maciej, a nie złodziej Andruch! Wyciągnijcie mię z tej jamy a przekonacie się o tem!

— Wyciągniemy cię — rzekł głos z nad jamy, ale zaraz odstawimy cię do aresztu.

Ludzie ci włożyli po tych słowach do jamy tykę długą, której się Maciej jak zbawienia uchwycił. Przy pomocy tej tyki Maciej stanął na nogi i z wielką trudnością dostał się z jamy na wierzch. Gdy Maciej stanął przed napastnikami swymi wyglądał jakby upiór jaki. Cały był pokryty błotem włosy miał najeżone okropnie, a ze strachu i zimna trząsł się jak ryba. Ludzie widząc go przed sobą, a poznawszy, że to nie Andruch, cofnęli się także ze strachu w tył. Noc jeszcze zupełnie nie ustąpiła, poranek świtał zaledwie, więc ludzie ci widząc Macieja zabłoconego, sądzili, że to djabeł i poczęli co tchu ku wiosce uciekać. Maciej biegł za nimi i wołał:

– Tyle przez was ucierpiałem; teraz przynajmniej powiedzcie mi, czy ta wioska na prawdę nazywa się Kaliniec i gdzie mieszka ksiądz?

Ale obaj ludzie biegli, ile im tylko sił stało i nie słysząc słów Macieja, myśleli, że spotkali na prawdę jakiegoś szatana, który pędzi za nimi. Nie oglądali się w tył, bo było jeszcze dosyć ciemno, a zresztą bali się, by ich djabeł swym urokiem nie zabił. Maciej tymczasem biegł tożsamo prędko i chciał dopędzić swych napastników, by mu drogę do księdza wskazali. Ale ludzie ci, jakokolwiek byli więcej zastraszeni niż Maciej, biegli prędzej i wpadli do wioski z wielkim krzykiem:

— Upiór!... Djabeł!... Czart!...

Świtać już zaczęło, więc ludzie we wsi zbudzeni ze snu wybiegali na drogę, by się dowiedzieć, co te krzyki znaczyć mają.

Plebanja stała na początku wsi, więc ksiądz zbudzony krzykiem, wyleciał najpierw z domu.

— A cóż tam się stało? — zapytał ksiądz zbitych w gromadkę ludzi.

Z gromadki wyszło dwóch ludzi i rzekło do księdza:

— Ktoś nam ciągle kartofle z jamy wykradał. Chcąc złapać złodzieja, zrobiliśmy zasadzkę ale zamiast złodzieja, złapał się jakiś upiór, który pędził za nami aż pod wieś samą. A toż to w tem miejscu właśnie, jak powiadają ludzie, zamarzł przed kilkoma laty jakiś żebrak, więc to pewno jego dusza z piekła.

W tej chwili ujrzano na kilkadziesiąt kroków przed sobą jakąś postać.

— To on! gwałtu! — zawołali wszyscy i chcieli uciekać.

Ksiądz zaczął tłumaczyć, że duchy nie chodzą po świecie, że ten upiór jest pewno człowiekiem. Ale mimo to wszyscy bardzo byli strwożeni, a każdy robił znak krzyża św. i chował się za plecy księdza.

Maciej tymczasem bardzo powoli zbliżał się do wsi. Po tylu przypadkach przykrych stracił zupełnie odwagę. Stąpał ostrożnie noga za nogą, a ciągle się dokoła oglądał. Gdy już zbliżył się do pierwszej chałupy we wsi, szedł jeszcze ostrożniej.

— Zrobili ze mnie złodzieja, a potem djabła, pomyślał w duchu. Gdy mię zobaczą we wsi, gotowi mię jeszcze zamordować.

Szedł więc noga za nogą, robił ciągle znak krzyża św. i mówił głośno:

— W imię Ojca i Syna i Ducha św. Ja nie złodziej ani, djabeł — ja jestem Maciej z Jagódki!

Ludzie widząc, że upiór żegna się i wymienia Trójcę przenajświętszą, uspokoili się, a ksiądz usłyszawszy ostatnie słowa Macieja, pobiegł prędko do niego, by mu się dobrze przypatrzyć.

Gdy ksiądz Jan przybliżył się do Macieja, nie poznał z początku w tym zbiedzonym i zestraszonym człowieku swego brata. Maciej tożsamo nie poznał od razu swego brata, bo był bardzo zestraszony.

Dopiero po chwili obaj prawie równocześnie zawołali: bracie! i powitali się serdecznie.

Gdy biedny Maciej ochłonął ze strachu, opowiedział swemu bratu całą swą biedę i wszystkie przypadki, których doznał w swej podróży.

— Gdybym teraz był dzieckiem — rzekł do brata — poleciałbym na skrzydłach do szkoły i uczyłbym się pilnie, bo ta moja głupota może mi kiedyś w życiu jeszcze większe nieszczęścia zgotować. Ale podobno już wszystko za późno.

— Wszystko jeszcze da się naprawić! — rzekł ksiądz Jan pocieszając swego brata.

I rzeczywiście wszystko dało się naprawić. Maciej przy pomocy swego brata nauczył się czytać i pisać i poznał dużo pięknych rzeczy, o których przedtem i nie śniło mu się nawet nigdy.

Dzisiaj jest Maciej Kołowrotek najzamożniejszym i najrozumniejszym gospodarzem w Jagódce. Syna swego wysyła do szkoły i co niedzieli czyta z nim różne piękne książki. Ile razy spotka się z takim, co tak jak on za młodu naśmiewał się z nauki opowiada mu zaraz wszystkie te pocieszne przygody. A słowami swemi umie tak dobrze trafić do serca i rozumu, że już niejednego na dobrą drogę naprowadził.

Ksiądz Piotrowicz.

We Lwowie wydaje p. Alfred Młocki, poseł na sejm krajowy, bardzo tanie książeczki. Takich książeczek wyszło już kilkanaście, a każda kosztuje zaledwie trzy lub cztery centy. Są tam opowiadania o rozmaitych świętych patronach naszego kraju, o królach i pobożnych ludziach, którzy pomiędzy nami żyli, i zasługują na uwielbienie. Ostatnia książeczka, opowiada znów o prześladowaniach wiary katolickiej na Litwie przez shizmatyków Moskali. Z tej to książeczki podajemy wam kilka ciekawych ustępów:

„Wdzień Zwiastowania Najświętszej Panny Maryi w 1870 roku, skoro tylko zaszarzało na wschodzie, widać było mnóstwo ludzi spieszących na odpust do kościoła św. Rafała do Wilna.

Wilno miasto duże i piekne, ale nieszczęśliwe, bo je Moskal trzyma w swoich pazurach.

Jest tam brama murowana, szeroka, duża, a w bramie obraz Najświętszej Panny, co się od tego nawet nazywa Matką Boską Ostrobramską. Przed obrazem jest ołtarz i nieraz tam się odprawiają nabożeństwa.

Przed ołtarzem ksiądz Piotrowicz mszę już odprawiał

Po mszy świętej ksiądz Piotrowicz pojechał do kościoła św. Rafała. Naród za nim popłynął jak fala. Nim ksiądz jeszcze wyjdzie z kazaniem, to wam opowiem, co się stało dzień przed świętem Zwiastowania. Swięto było w piątek, a we czwartek zawołał księdza Piotrowicza ksiądz Żyliński, jeden z owych niecnych kapłanów Judaszów, przekupionych przez Moskwę, i powiedział:

— Masz tu księże dwieście książek do nabożeństwa, pamiętaj, abyś je rozdał pomiędzy ludzi na odpuście.

Ksiądz Piotrowicz otwiera jedną książkę i patrzy się, a tam w niej nabożeństwo moskiewskie, shizmatyckie, po moskiewsku napisane, więc mówi: Ja moskiewskich książek nie rozdam.

A na to znowu ks. Żyliński: Weż te książki, w nich tylko pismo moskiewskie, ale nabożeństwo katolickie.

Ksiądz Piotrowicz zabrał książki i poszedł do domu.

Rozczytawszy się w domu w tych książkach, przekonał się, że w nich moskiewski obrządek, siadł więc przy piecu i tak długo niemi palił, dopóki wszystkie nie zgorzały. Tylko jedną zostawił niespaloną.

Na ambonę wyszedł ksiądz Piotrowicz. W jednej ręce trzyma zapaloną świecę, a w drugiej książkę moskiewską.

Naród z obawą spogląda na księdza; wiedzą, że wczoraj był u zdrajcy ks. Żylińskiego, boją się, aby nie obrażał dusz ludzkich i nie zamawiał na schizmę. Ksiądz się przeżegnał i mówi:

— Bracia! szczęśliwy jestem, iż tak licznie zebraliście się. Wyszedł ukaz carski, aby do kościoła katolickiego wprowadzić język moskiewski, mnie go kazali wam odczytać. Przytem dostałem od księdza Żylińskiego dwieście książek z moskiewskiem nabożeństwem. Wszystkie spaliłem, tylko tę jedną zostawiłem, abym was o prawdzie słów moich przekonał; tę więc tu w oczach waszych palę.

To mówiąc zbliżył świecę do książki; papier się zajął i buchnął płomieniem.

— Niebezpieczeństwo jest wielkie. Chcą was zmusić do przejścia na schizmę.

— Idę ze spokojem do domu, a może mię porwą na drodze, ale nie lękam się śmierci za wiarę.

Gdy ksiądz zchodził z kazalnicy, otoczył go lud cały niby murem, a zaledwie wyszedł z kościoła, rzuciła się na niego moskiewska policja — ale naród silnie stał przy swoim kapłanie i własną piersią go zasłaniał.

— Zabić siepaków! wołano w tłumie.

— Nie zabijajcie, mówił łagodnie ksiądz Piotrowicz, albowiem oni nie wiedzą co czynią, a są podobni do psów, co ich car szczuje na uczciwych ludzi.

Litwini nie wydali księdza, a siepaków obili i napędzili. A ksiądz Piotrowicz na drodze stanął i mówił:

— Bracia pozwólcie mię wziąć. Moskale mają karabiny i armaty, wyszlą wojsko i zgniotą was, a mnie zabiorą. Idźcie do domu. Niech was Bóg błogosławi, jak ja was w tej chwili błogosławię po raz ostatni! A lud cały głośno zapłakał, i cisnął się do księdza. I całowali jego ręce, i rąbki szat jego. A niektórzy darli po kawałeczku jego suknię i chowali jako najświętszą relikwię.

Moskale wysłali cały batalion wojska, co się z bębnami zbliżało do tłumu narodu i wrzeszczało:

— Precz — z drogi — buntowniki! i dali ognia. Kule moskiewskie uderzyły w piersi ludu, padali zabici i ranni, dzieci i kobiety. Bezbronnym wydarli księdza Piotrowwicza i powlekli do więzienia.

Gubernator moskiewski natychmiast po uwięzieniu wydał na księdza Piotrowicza wyrok śmierci przez powieszenie. Wiadomość o tem posłał do cara. Ale car rozumny jak szatan, nie chciał księdza Piotrowicza zabijać otwarcie, boby świat

powiedział, że rząd moskiewski morduje księży. Przysłał więc rozkaz do gubernatora, aby księdza wywieźli daleko, w głąb krajów moskiewskich, do Archangielska nad morze lodowate, gdzie wiecznie panuje zima. Wolę cara spełniono.“

Tak to Moskale prześladują braci naszych za wiarę.

Bartłomiej Głowacki.

Hej! tam w karczmie za stołem
Siadł przy dzbanie Jan stary,
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary:

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!



Za mych czasów to słynął
Kum Bartłomiej Głowacki;
Od Moskali on zginął,
Oj to krakus był gracki!

Bo czy w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele,
Nie dał bruzdzić nikomu,
Wszędzie sam był na czele.

Nasz Bartosz nad wszystkimi
Jaśniał jak dąb wspaniały,
Bo w krakowskiej też ziemi,
Nikt nie dorósł mu chwały.

Raz pamiętam z wieczora
W Racławicach stoimy,
Wtem coś miga z za bora,
I Moskali widzimy.

Jak Kościuszko ich zoczył,
Kázał bębnić na bitwę —
Wtem Głowacki poskoczył,
A miał kosę jak brzytwę.

Jak wziął machać, wywijać,
My też obces na wrogi;
Dalej ranić, zabijać,
Aż Moskale het w nogi!

Het przez rowy, przepaście,
Uciekali jak wściekli —
Myśmy armat dwanaście
Do Kościuszki przywlekli.

Jak się zeszli wodzowie,
Bartosza przywitali,
Pili na jego zdrowie,
I serdecznie ściskali.

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej łepiej bywało!

Gdy to wyrzekł Jan stary,
Zapał w oczach mu błysnął,
Wspomniał na swój wiek jary,
Starą kosę uścisnął.

Młodzież kubaki nalała,
Wychyliła „jo duszkiem
„Oto zuchy, krzyczała,
„Nasz Głowacki z Kościuszkiem!“

Kto skończy, nie kto zacznie, zapłatę odbiera.

Powiadają, że w pewnem mieście był kościół opuszczony, do którego król co nocy jednego żołnierza na wartę posyłał. Lecz tego żołnierza wtedy tylko widziano, gdy szedł na wartę, nie wracał już bowiem z kościoła, gdyż tam była królewna zaklęta, która co nocy żołnierza jednego żywcem pożerała. Trwoga opanowała całą straż przyboczną króla, a nie było nikogo, coby się chciał poświęcić dla pana swego.

Wtem pojawił się walny młodzieniec Mikołaj, który nie miał się czego jąć na świecie i postanowił do wojska przystać. Jakoż wielka tam była radość, że takiego fryca ułowili. Zaraz włożyli na niego mundur i kazali mu iść na wartę do kościoła. Ale wpadł on jednemu żołnierzowi w oko; podobał mu się bardzo. Ten tedy żałował go mocno, znienacka przystą-

pił do niego i powiada: Nie chodź do kościoła,... ztamtąd nikt jeszcze nie wrócił,... szkoda twojej urody, zginiesz marnie.

Przerażony Mikołaj postanowił tajemnie opuścić służbę wojskową. Gdy już był za ostatnią bramą miasta, zastąpił mu drogę poważny staruszek i zapytał: Dokąd idziesz On mu wszystko powiedział, co się stało i przed jaką przygodą uchodzi. Staruszek łagodnie spojrzał na niego i zawołał: Na samym wstępie zawodu rycerskiego stchórzyłeś haniebnie! wiedziałeś wszakże, że zdrowie i życie twoje poświęcić masz temu stanowi, któremuś wierność zaprzysiągł, a ty go zdradzasz niegodziwie.

— Ojcze! zmiłuj się, nie znęcaj się nademną! ja do otwartej walki zawsze gotów jestem; ale ta zaklęta królewna tyle ofiar już pochłonęła, jakże ja jej podołam?

— Nie ma co mówić, pięknie się wymawiasz. To dla tego, że ona tysiąc żołnierzy pożarła, ma i ciebie pożreć? Ażali nie wiesz; że nie ma nic stałego pod słońcem? dziś zwycięzca, jutro może być zwyciężonym. Dlatego też wracaj do służby, nie bój się, ona ci nic nie zrobi. Ale skoro wnijdziesz do kościoła, zamknij drzwi za sobą, a potem wstąp na ambonę, gdzie spokojnie przesiedzisz całą noc w kościele.

Usłuchał staruszka, poszedł do kościoła, drzwi zamknął za sobą i usadowił się na ambonie. Lecz długo nie mógł przyjść do siebie, zwłaszcza gdy zgruchotane ołtarze, rozrzucone obrazy świętych pańskich i grobowa do koła cisza przestrach ten pomnażały. Pośrodku stał katafalk czarnym całunem pokryty, a na katafalku niezwykłej wielkości trumna leżała. Bije dwunasta godzina, wieko z trzaskiem wielkim odskoczyło,.. powstała zaklęta królewna, oczy jakby ze snu przetarła, westchnęła ciężko i poczęła chodzić po kościele. O godzinie pierwszej układła się do trumny, wieko z trzaskiem zapadło i ponura cisza zapanowała.

Potem widzeniu zasnął Mikołaj i nie obudził się, aż żołnierze zaczęli do drzwi kołatać. Jak krzyknie na nich: A kto tam taki? — tak oni ze stachu pouciekali. Poszedł do starszego i zrobił mu dokładne sprawozdanie z nocnej wycieczki i sądził, że już wolnym będzie od tej nieszczęsnej warty. Stało się atoli inaczej. Przyszła wieczorna godzina, żaden żołnierz nie chce

iść do kościoła, wszyscy wołają: Mikołaj niech idzie na wartę. On zaś nie wiele myśląc, począł inną stroną ze służby wojskowej uchodzić, aby się z dziadkiem nie spotkać. Lecz zaledwie ostatnią bramę miasta minął, znany mu głos odezwał się: A dokąd to tak spiesznie zmykasz Mikołaju?

Stanął zawstydzony i powiada: Oni się uwzięli mię zgubić, znowu mi kazali kościoła pilnować,... raz mi się udało, drugi raz pewnie nie uda,... dlatego uciekam.

Pomnij synu! że kto skończy, nie kto pocznie, zapłatę odbiera. Wracaj do służby,... nie bój się,... ona ci nic nie zrobi, ale dzisiaj przesiedzisz całą noc przy organach.

Usłuchał on dziadka, poszedł do kościoła i usiadł przy organach. O dwunastej godzinie wstała królewna, jak szalona uganiała się po kościele, a nie znalazłszy ofiary do pożarcia, znowu zajęła miejsce swoje. Zrana poszedł Mikołaj do starszego, aby złożyć sprawozdanie i pewnym był, że już więcej nie pójdzie na wartę. Lecz niestety przyszedł wieczór, nikt nie chce iść do kościoła,... wszyscy wołają: Mikołaj był już dwa razy, nic mu się nie stało, niechże i trzeci raz idzie! — a co gorsza, że i przełożeni uradzili, żeby on codziennie chodził na wartę. Wtedy Mikołaj postanowił oddalić się i nie wracać więcej do wojska. Uciekał z miasta różnemi zaułkami, aby się gdzie nie zdybać z dziadkiem, lecz zaledwie minął ostatnią bramę miasta, wnet zawołało: Co u licha, czy skoki zajęcze do nóg przyczepiłeś, że tak prędko biegniesz Mikołaju?

Głos ten dziwny jakiś urok nań wywierał, nie mógł się oprzeć onemu, stanął jak wryty i powiada: Ej dziadku, dziadku! ty drwisz ze mnie, a wszakże oni mi kazali codziennie iść na wartę, aby mię tym sposobem koniecznie zgubić.

— Synu! czy nie wiesz, że życie człowieka nieustanną jest walką? dlaczegożeś zwątpił o twej sile? Kto wytrwa, ten zbawion będzie. Przeciwności są nieuchrone, ale „Kto się w opiekę podda panu swemu,“ tego miłosierdzie boże osłoni przed każdą przygodą. Wracaj do służby, nie bój się, królewna nic ci nie zrobi; ale dzisiaj schowasz się pod katafalk, a gdy ona wyjdzie z trumny, ty natychmiast położysz się na jej

miejsce; ona cię będzie szczypać, dusić i kąsać, nie ruszaj się wytrwaj, a radość wielką oglądać będziesz.

Usłuchał on tej rady, poszedł do kościoła i schował się pod katafalk. Bije dwunasta godzina, wieko z trzaskiem odpadło,... królewna zaklęta wyszła z trumny, a on zaraz poszedł na jej miejsce. Bije pierwsza godzina, wraca królewna rozgniewana, że nie znalazła ofiary i rzuciła się jak dzika na Mikołajka, i nuż go szczypać, dusić i kąsać, by go z trumny wydobyć i pożreć. Lecz gdy się bez skutku długi czas szamotała, usiadła najspokojniej. Owa jędza, w baranka się przemieniła,... jako troskliwa gołębica poczęła rozmawiać łagodnie i dziękować, że od klątwy została uwolnioną. Rano przychodzą żołnierze do kościoła, ona im każe przywołać króla z księdzem, by ją połączył z Mikołajem. Król uradowany idzie z księdzem do kościoła,... katafalk znika, ołtarze wracają do swej okazałości,... hucznie grają organy,... królewna z Mikołajem ślub bierze. Uciecha powszechna po całym kraju, a igrzyskom i zabawom publicznym końca nie było

Razu pewnego jedzie on w karecie z królewną na spacer. Gdy wyjechali za miasto, spotkali znanego staruszka i wysiedli oboje z karety, by mu podziękować za dobrą radę. Lecz on powiada: Na tem nie koniec — i porwał królewnę i rozdarł na dwoje, a położywszy jedną połowę ciała na prawą, drugą zaś na lewą stronę, zawołał: — Teraz dobrze.

— Ej dziadku, dziadku! cóżeś najlepszego zrobił, odezwał się rozpłakany Mikołajek. Tylem się nabiedował, by dostąpić tego szczęścia, a ty pozbawiłeś mię tego skarbu,...

Ufaj synu! kto skończy, nie kto pocznie, zapłatę odbiera. I podniósł jedną połowę ciała,... i wstrząsnął silnie, a pięćset żołnierzy wypadło i stanęło po prawej stronie. Potem wziął drugą połowę ciała, wstrząsnął silnie, a pięćset żołnierzy wypadło i stanęło po lewej stronie. Królewna odżyła daleko piękniejsza i milsza,... dziadek zniknął, a rycerze z tryumfem odprowadzili Mikołaja do miasta, który odtąd bardzo wesołe i szczęśliwe życie prowadził.

Tak to ludzie bają w wolnych od pracy chwilach, lub zimowemi wieczorami przy kądzieli, i nie wiedzą nawet, że

te dziwne opowieści, choć są nieprawdziwe, choć się nigdy nie zdarzyły, są często piękną dla nas nauką. Potrzeba tylko nieco zastanowienia, a każdy pozna, że i w bajkach takich może znaleść i naukę i pociechę dla siebie.

My wszyscy jesteśmy wojownikami tu na ziemi,... owa królewna zaklęta, to ciemnota, która nas zewsząd otacza,.. ów staruszek poczciwy, to sumienie nasze, jedyny przewodnik z nieba, który nas do walki zagrzewa... Więc żwawo do boju! a gdy ciemnota pokonaną zostanie, natenczas zabłyśnie chwała na wysokościach, a na ziemi swobodnie zapanuje spokój ludziom dobrej woli. *Wicenty z Pokucia*

Opowiadania mojej babki.

Było to za naszego króla Sobieskiego, kiedy na Niemców z niezliczonem wojskiem nadciągnęli Turki. Dniem i nocą idą i jadą, a wszyscy spieszą pod Wiedeń, i obsiedli to miasto, jak rój gdy z gniazda wyleci i uczepi się gałązki. Niemcy patrzą z miasta i skóra na nich pocierpa. Wysłali wojsko swoje niemieckie, ale wojsko nie dostało placu, i uciekło, aby się schować za murami, Wiedeń bowiem był wysokim murem otoczony. Schowani za mury strzelali Niemcy do Turków i nie dopuszczali do miasta. Pomyślał sobie więc Turek, poczekaj, będzie sztuka na sztukę i gdy Niemcy strzelali, Turek cofnął się tak daleko, aby go kule nie dosięgały i na rozległych polach około Wiednia rozłożył się obozem. Z początku myśleli Niemcy, że ich nieprzyjaciel zabawkę wyprawia, ale gdy im po niejakim czasie zabrakło żywności, bo wszystkie zapasy już zjedli, a Turcy do miasta nie przepuszczali ani zboża, ani mąki, wtenczas okrutny strach padł na Wiedeńczyków i rada w radę, co dalej począć.

U nas panował wtenczas król Jan Sobieski; dzielne miał ramię, a gdy dobył krzywej szabli, to aż w powietrzu zaszumiało, a kiedy po nad głowami wrogów nią zawinął, wtenczas sto głów nieprzyjacielskich potoczyło się po ziemi. Znali go po całym swiecie z tej cnoty, najlepiej zaś Turcy, bo na ich

karkach nieraz błyszczała krzywa szabla królewska, i naliczyć się nie mogli, ilu ich padło od jego pałasza. Prawda Sobieski ich nie szukał, ale oni sami jak łakome psiarstwo złazili się na naszą ziemię, aby nas z dobytku obedrzeć. Gdy więc teraz Turki ścisnęli Niemców Wiedeńczyków, a ci prawie już z głodu ginęli, przysłał niemiecki cesarz do naszego króla posłów z prośbą o pomoc.

Sobieski siedział na pozłocistym tronie, a obok niego jego żona, a dalej radni i ministrowie. Gdy wszedł poseł niemiecki ukląkł przed królem i błagał ze złożonemi rękami o pomoc, król wstał i powiedział:

— Sąsiadowi dobremu pomoc się należy, i gdybyście wy Niemcy z nami żyli w zgodzie, to już bez waszej prośby byłbym wysłał wojsko na pobicie Turka. Ale wy w biedzie tylko zginacie kolana i prosicie o pomoc, i zaprzysięgacie przyjaźń a gdy bieda minie, natenczas zapominacie o wszystkiem i jesteście najzaciętszym nieprzyjacielem

— Panie miłościwy ratuj nas i całe chrześciaństwo przed Turkiem, rzekł znowu klęczący Niemiec, a my zawsze na wieki będziemy waszymi przyjaciołmi.

— Was wyratować, rzecze król, a wyście nigdy za nami nie wyciągnęli ręki, a zmawialiście się zawsze na naszą zgubę — wy Niemcy nawet sami najeżdżaliście tę nasze świętą ziemię i paliliście nasze wioski i rabowali kościoły. Wszak to wszystko jest w księgach zapisane, a teraz mówicie: ratuj nas i całe chrześciaństwo Wy przepadajcię, boście naród fałszywy — wolę dzikiego Turka, niż fałszywego Niemca.

Teraz rzucił się na kolana poseł od papieża z Rzymu i błagał króla w imieniu papieża, aby Niemców obronił przed Turkiem.

Na to król odpowiedział: Dać pomoc Niemcom, to dać krew naszą i ludzi naszych za wolność niemiecką, więc mamy nastawiać nasze karki za tych, co tylko czyhają na zgubę naszego narodu? My na Turka nie pójdziemy, bo on nie naszedł naszej ziemi on nam nie rabuje wiosek, ani z pastwisk naszych nie zabiera bydła. Gdy do nas przyjdzie, wtenczas my go pobijemy, i jego trupami zgnoimy nasze pola tak, jak tyle razy z nim uczyniliśmy.

Ale posłowie cesarza niemieckiego nie przestawali prosić i na kolanach błagać o zlitowanie i pomoc. Król odwołał się do rady swojej. I jedni mowili pójść, a drudzy radzili zostać w domu i dobrze radzili, ale przecie przy końcu stanęło na tem, aby dać pomoc uciśnionym Niemcom.

W starożytnym Krakowie zgromadza się nasze wojsko, król rusza przez góry Karpaty, pod Wiedeń Król jedzie przez rynek krakowski, a nad nim wysoko, migoce białem skrzydełkiem gołąbek i leciał tak długo, dopóki Sobieski nie minął murów Krakowa, a potem wrócił, usiadł na Sukiennicach i skamieniał na znak żałoby. Sukiennice, tak się nazywa duży gmach w Krakowie na rynku, co go jeszcze król Kazimierz wielki kazał wybudować; a biały gołąb skamieniały dotychczas siedzi na murze na znak, że król Jan Sobieski na własne nieszczęście wyratował Niemców z biedy, bo się nam tak odwzięczyli, że nam zabrali wolność, obdarli i przyprowadzili do ostatniej nędzy.

Tymczasem król pobił Turków pod Wiedniem. Jedni z nich zginęli na pobojowisku, a drudzy uciekli, zostawiwszy namioty i wielkie bogactwa Wszystkie te bogactwa naszym się dostały, a dziś ani śladu nie ma z tego, ze wszystkiego nas obdarli. Pobiwszy wroga, wjechał nasz król do Wiednia, głodni Niemcy, widząc że już są wybawieni, rzucili się na naszych i całowali nawet konie wojska naszego i nogi i płaszcze, a który się nie mógł docisnąć, był szczęśliwym, gdy mógł się dotknąć przynajmniej sukni naszego wojaka. I wołali: Niech żyje król! ale cesarz niemiecki przysłał policajów i zabronił ludowi wołać: niech żyje król! tylko kazał wołać: Niech żyje cesarz niemiecki! I wrzeszczeli Niemcy swojemu cesarzowi, niech żyje! choć on ich z biedy wyciągnąć nie umiał, ale się nadymał teraz, gdy już nieszczęście przeminęło.

Wyjechał cesarz niemiecki naprzeciw naszego Jana Sobieskiego, aby go powitać, ale był hardy i nie chciał zdjąć z głowy pierwej kapelusza, dopóki mu się Sobieski nie ukłoni Zapomniał tak prędko, że jeszcze wczoraj Niemcy z głodu umierali, a przed naszym królem, posłowie jego w prochu leżeli, prosząc o litość. Król Jan się zbliża i rękę podniósł, by wąsa podkręcić. Widząc to cesarz natychmiast chwycił za kapelusz i pierwszy się ukłonił, teraz z uśmiechem nasz król powitał Niemca.

Redakcja Dzwonka przeniosla się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 1/4 - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza